

2145



Kruszcze srebrne

ALBO

O P I S

Zamordowania księży

W BYTOMIU G. S.

1361 roku.

Z niemieckiego przetłómaczono.

Wydanie odnowione.

N. Piekary.

Druk i nakład Teofila Nowackiego.

1891.



10361/66

SL13g
SL1469e

213226

I

D.H.
Antybu, Kce
14.7.66 25 int





Na początku wiosny roku 1361 po narodzeniu Chrystusa Pana siedział w głębokiej piwnicy pod swoim domem przy węglach rozżarzonych — burmistrz Jędrzej Fabrycy, mąż chciwy panowania a oraz i popędliwy; a ujawszy ogromny tygiel, ulął ostrożnie w wielkiej formie srebrną kolebkę. Wtém usłyszał pukać na drzwi i tudzież wstąpił ksiądz Anzelm, proboszcz tamtejszy u św. Małgorzaty, który gankiem podziemnym z przedmieścia Gliwickiego dotąd prowadzącym, z nieznacka aż do piwnicy prowadził. „Bóg z wami! — niechaj będzie pochwalony Jezus Chrystus!” przemówiwszy, tudzież i pytanie czynił: „Iżaliż korzyść hojną była?” „Hu! trzeba się było schylać i ścisnąć we wilgotnym przechodzie, jakoby górnikowi w głębokiej kopalni! Patrzajcież! oto srebrna kolebka! Ej! wy Bytomscy właściciele kruszczu, jużście się daleko posunęli, bo już potomków waszych w srebrze kołysać możecie! Nie dosyć wam jeszcze na tem, że po wschódkach srebrnych do przepysznych

i pod pokłady siagających łózek waszych wstępujecie? Wiecie wy też jednak, że z tego fararzowi waszemu dziesiątek należy?"

Głosem gromowym odezwał się rozgniewany Fabrycy: „Co! nigdy niezasycony obłudnik i od srebra chce mieć dziesiątek? Nie będzie nic z tego; nie tylko teraz ale i na potomne czasy! a chociażbyśmy wszyscy zniszczyć mieli!"

„Możecie mieć prawie, rzekł ks. Anzelm, zaprawdy przykro wam to przychodzi, że kościół naszego u św. Małgorzaty za darmo używać możecie, że fararzowi kościoła Panny Maryi grosz Pragski płać i obrok dla koni dawać musicie, nie mówiąc o tym, żebyście jeszcze dziesiątek ze zysku górnictwa waszego dawać mieli."

Na to odpowiedział burmistrz: „Nie będzie nic z tego, i dziś jeszcze miłościwemu książęciu naszemu o tem sprawozdanie uczynię." Na to rzekł proboszcz: „Wolno wam to uczynić. Chętnie ja codziennie w kościele miejskim godzinki śpiewać każe, jeżeli go z probostwem naszym połączycie; wszakże wam wasz fararz, Piotr z Koźła, tylko jest od książęcia Cieszyńskiego wciśniony."

Jemu przykiwując, zapalił Fabrycy grubą pochodnię z łuczywa, tak że sklepienia wy-

sokie piwnicy okropnie zajaśniały, zaczem zorza na twarzy brodatéj rozjątrzonego Fabrycego odbijała i jemu nieprzyjemny widok dawała. Przeciwnie ksiądz Anzelm niepokazywał w obliczu swoim, co dusza jego knowała. Spokojniéj, aniżeli przyszedł, powrócił podziemnym chodnikiem. —

Burmistrz Fabrycy, ubrany w czarne urzędowe szaty, z mieczem szerokim przy boku, udał się na ratusz; a gdy się przez długi czas z syndykem Wojtacha sam i tajemnie rozmówił, uczynił radzie zgromadzonéj przedstawienie, ażeby kopalnie kruszczu srebrnego przed Górską bramą zwiedzić. *)

Powagą i godnością napelnieni szli radzcy najprzód, przed niemi szedł kat z mieczem golem, na znak, że magistrat w Bytomiu miał prawo nad życiem i śmiercią; za nim postępowali dwaj słudzy miejscy z kijmi i powrozami a w tyle straż, złożona z dwunastu Helebardystów, członków młodszego cechu kowalskiego, na których dzisiaj kolejno służba trafiła. Droga ich szła podle szubienicy, o kilka set kroków tylko od bra-

*) Szczątki tych kopalni zaczynają się od domku prochowego garnizonu Bytomskiego i ciągną się nie daleko granice Miechowie, wsi o pół mili od miasta tego odległéj.

my miasta stojącej, na której jeszcze ciało Dęgosa, rabusia osławionego wisiało, który ludzi często do źródła niedaleko bramy Gliwickiej wychodzących, napadał, aże nakoniec i onemu, jako przysłowie mówi, ucho od dzbanka się urwało, i miarka się przebrała a i on za zbrodnie swoje zapłatę należytą odebrał.

Przy pojrzeniu na szubienicę zawołał burmistrz: „Tak wszyscy, którzy powszechniej spokojności przeszkadzają, zaginać muszą!“ A toli on sam umysły rozruchu przeciw farrarzowi Piotrowi Kozielskiemu w sobie taił. Onego bowiem książę Przemysław na Cieszyńie opiekunem ksiązęcia na Koźlu uczynił, któremu połowa miasta Bytomia należała i onego na prebendę wprowadził. Magistrat był oto bardzo zagniewany, gdyż go jak wtrącego sobie z woli ksiązęcia, poważał. Mimo tego sprzyjali mieszczenie więcej Panu drugiej połowy Bytomia, ksiązęciu Konradowi białemu na Oleśnicy. Takowe położenie umysłu podniecał książę Oleśnicki sam ze wszystkich sił tusząc sobie, że z czasem całe miasto pod władzę swoją zagarnie. Narzędziami chciwości jego mieli te bydź i zakonnicy Wincentyni u św. Małgo rzaty za przedmieściem Gliwickiem, zochoczą

to czynili, upatrując na to, żeby się dochody ich pomnożyć mogły.

Napełnieni gorzką nienawiścią ku duchowieństwu miejskiemu, przybyły osoby magistratualne do kopalni kruszczów srebrnych i napotkali tam fararza Piotra, który się był u cechmistrza Wojciecha Pełkowskiego zabawiał i w niewinności pomiędzy inną rozmową onego zapytał: „Wiele też rocznie górnictwo dochodu przynosi?” Nie dziw temu, że się tu mowy grube i surowe rozpoczęły, ażeby też o mało niedługo i do gwałtowności przyszło było. Jużto burmistrz w zapale swoim katowi kazał, aby fararza do najgłębszego szybu wtracił, czego jednak inne osoby, które właśnie i na szczęście nadeszły, dozwolić niechciały.

Krótkim klusem nadjechali konno Wincenty, proboszcz z Chorzowa i cześć godny ojciec duchowny, Jacek z Rozbarku. Obaj powracali z lasu Miechowskiego, gdzie miejsce na wybudowanie kościoła i folwarku obierali.

Pełen świętej gorliwości, zajechał Jacek pomiędzy burmistrza i fararza, zsiadł z konia i kazał księdzu, aby nań wsiadłszy, z proboszczem corychlej ujeżdżał. Potem stanął na kupie ziemi i wołał o zemstę do nieba,

na zuchwalca, który się poważył, rękę włożyć na pomazańca pańskiego. Po oddaleniu fararza zdały się bydz umysły uspokojone; ojciec Jacek udał się do pustelni swojej nad zdrojem, który się do dziś dnia po imieniu jego nazywa. Widziano jeszcze jak habit jego długi Dominikański w powietrzu powiewał, zaczem już burmistrz Fabrycy miejskiego cechmistrza surowie wypytywał, coby za sprawę miał fararz u niego? Ten zaś w zadziwieniu swoim wszystko opowiedział o co się ów pytał, na co się cały magistrat na nowo gniewem wielkim zapalił, mający za niewątpliwe przekonanie, że on w saméj rzeczy i od kruszczów srebrnych dziesięcinę upominać się będzie. „Niedamy mu jój teraz ani na potomne czasy!“ — tak brzmiało i wrzało hasło jednym głosem, każdy albowiem o własnym zysku myślał i na żaden sposób niechciał się dać ze strony fararza uszczupić.

Gdy na ratusz powrócili, obrali pomiędzy sobą posłów, do książęcia Oleśnickiego w imieniu miasta udać się mających. Książę skłonił chętnie ucha swego na ich wnioski i czynił nawet więcej nadto czego żądali. Kazał on odebrać fararzowi dwie włóki roli, które po większej części dochód jego stano-

wi'y, nadał je jednemu młynarzowi w dzierżawę i polecił mieszczanom, aby do kościoła świętej Małgorzaty uczęszczali i tam daninę oddawali. Przedtém już mieszczanie większą częścią na nabożeństwo więcej do św. Małgorzaty jak do kościoła farnego chodzili, odtąd zaś nikt już kościoła tego nienawiedzał. Z drugiej strony skarżył fararz u księcia Cieszyńskiego, a ten nakazał miastu, ażeby fararza swego w prawach jemu nadanych nieuszczerbiał. Parafianie niesłuchali jednak nakazu tego a na nieszczęście dla fararza, umarł w krótkce potem książę Przemysław.

Czcigodny ojciec Jacek był jedyny, co się za uciemiężonym ujął i przynajmniej obywateli Rozbarku naprowadził, że mu należytość jego dawali. Za radą jego przyjął fararz Piotr wikarego, imieniem Mikołaja z Pyskowie za pomocnika i zastępcę swego i udał się w podróż do Rzymu, chcąc tam szukać sprawiedliwości.

Znalazł ją tam i po dwóch latach powrócił pełen ciężkich trudów i niewygód szczęśliwie do Bytomia. Jak stałe przedsięwzięcie i jaka wysoka mężność do tego należała, podróż takową w czasach owych, piechotnie, w braku gościńców i znajomości traktów i

bez pieniędzy podjąć? Zaprawdę przez hojne tylko zasiłki w klasztorach i u księży świeckich — podobną do wykonania rzeczą mu się to stało — przyczem ufność na sprawę swoją dobrą, ducha jego podpieierać musiała.

Z początku miewał kapelan Mikołaj w pobożnej gorliwości kazania w kościele farnym. Jednakowoż majątniejsze familie i członki rady zaraz przy wstępie na urząd jego, przeciw niemu były. Wykładali oni wszelkie jego napomnienia chrześcijańskie za dosady uszczypliwe i zaczepki osobiste i postarali się o to, że kościół farny wcale zamkniętym został. W kaplicy tylko na Rozbarku odprawiał jeszcze Mikołaj nabożeństwo i miewał kazania, dla czego też odtąd kapelana Bytomskiego zwykle „fararzem na Rozbarku“ nazywano.

Ojciec Jacek poszedł był tymczasem do Krakowa, chcąc tam u Biskupa i króla Kazimierza trzeciego wyrok pomyślny dla fararza Bytomskiego wyjednać.

Wszystkie jego usiłowania zostały jednak nieskutecznemi, król Kazimierz był na ówczas z Moskalami w wojnę wpłątany, a Biskup prawie urząd swój złożył, Akademia zaś krakowska, u której także pomocy szukał, była w owym czasie bez wszelkiej władzy.

Ojciec wielebny musiał poprzestać zamiaru swego i podjął się w potrzebach zakonu swego podróży do Prus, Pomorza, Szwecyi, Norwegii i Danii. Gdy tedy fararz Piotr z Rzymu powrócił, znalazł kościół zamknięty i całe mieszczaństwo przeciw sobie bardziej aniżeli przedtem rozdrażnione. Nieprzyjaciele wyluszczeni mu jego podróż za zbrodnię, i oddalali serca wszystkich obywateli od niego.

Proboszcz św. Małgorzaty wszedł zatem z gwardyanem klasztoru Minorytów (w roku 1258 wystawionego) z ojcem Sylwestrem w ugodę, tudzież i z proboszczem Chorzowskim, przy kościele św. Ducha mieszkającym, który w miejsce Wincentego do klasztoru Miechowskiego pozwanego, nastąpił. Wydarzyło się obydwóm, że gmin Bytomski do swych kościołów przyzwyczaili, a to tem łatwiej, że tam mniej dawać i podług swój woli każdej godziny na nabożeństwo chodzić mogli.

Gdy fararz Piotr wyrok Papierza magistratowi nadesłał, kościół farny otworzył i przededrzwiami kościelnymi kraty żelazne położyć dał, aby bydło rogate, czarny dobytek, króliki i psy świątynie nie splugawiły wczął się rozruch powszechny w Bytomiu. Zabrział głośno i przeraźliwie dzwon na gwałt z wieży miejskiej, radcy zgromadzili

się śpiesznym krokiem w sali sessyalnej; cechy rzeźników, tkaczy, kowali i krawców zebrały się na rynku i wystawiły strażę przy bramach i na wieżach muru miejskiego, jakoby nieprzyjaciele uzbrojeni, Tatarzy lub Turcy, miastu niebezpieczeństwem zagrażali. Atoli tylko dwóch nieuzbrojonych księży było, na których się gotowano. Magistrat zgromadzony posłał chorążego miejskiego, Klukowieckiego i sługę ratużnego, Kanicką, aby księży na ratusz zapozwali. Uczynili to posłańcy z wielkimi zwyczajnemi okolicznościami owych wieków i opowiadali oraz mieszczan zagniewanie.

Rzekł wtedy fararz do kaznodzieja i pomocnika swego: „Bracie w Chrystusie i współpracowniku mój! weźmij Ciało Pańskie ze sobą a idź do nich, może Syna Bożego czcić będą i tak się uspokoją.“

Kapelan uczynił według rozkazu, wziął monstrancyą i chciał się udać z Przenajświętszém na ratusz. Wysłał oraz farasz zakrystyana na wywiady, który atoli nie zadługo z wiadomością powrócił, że wszystkie bramy zawarte są.

Pobiegł wtedy śpiesznie fararz do piwnicy mieszkania swego, odłoczył beczkę w kącie stojącą na bok, otworzył drzwi spustne do

rychodu wyżej namienionego i dalej w lewą bok przedmieścia Gliwickiego do lasu Gaj ziodącego. Strach uskrzydlał kroki jego, krótce jednak zablądził, uderzył na filar wysterczony i upadł, niemogąc już władać myślami swojemi.

W takowym stanie znalazł proboszcz Anelm nieszczęśliwego, który będąc pełen oczekiwania względem zakończenia zdarzeń, znamięm chodnikiem, z latarnią w rękę, w to miejsce nadszedł. Obaczywszy tak bratawego bez pomocy leżącego, chciał się już w poruszeniu czułości i litości oddać i onego w pieczarach krętych i obszernych ukryć. Nagle jednak i z wrzaskiem gwałtownym zbliżyli się mieszczanie szukający fararza, Mokara i Błodnica, których światło proboszcza na prawy tór naprowadziło. Skrępowali oni bez wszelkiej litości męża nieszczęśliwego grubemi powrozami i wywlekli go drzwiami przez piwnicę burmistrzową a z tamtąd aż na ratusz. Powietrze zmienione obudziło życie zagasłe — lecz na jakie straszne widowisko. Ciemno spoglądały na niego czarne ściany sali ratusza, a ciemniej jeszcze gniew na zapalonych twarzach uzbrojonych ludzi, pęta biédnego więźnia jeszcze mocniej przyciągających.

W cichéj modlitwie obejrzał się więzień, a to przy boku jego leżał wierny kapelan Mikołaj, — powiązany, blisko już śmierci, gdyż miał chustą usta zatkane. Mocnéj w czułości swych obowiązków i w mocnéj nadziei na pomoc Boga, chciał on wniknąć na ratusz z Przenajświętszym, był jednak od tłumu zgromadzonego zatrzymany, powiązany i tak na ratusz wprowadzony.

Za radą chytrą, zysku własnego szukającego księdza Anzelma, sprowadzono następnie skrzynie z zakrystyi i zniszczono przywileje kościoła farnego. Piotr fararz, gniewem sprawiedliwym uniesiony, zebrał teraz ostatnie siły swoje i wyrzekł klątwę nad zbrodniarzami i nad całym miastem. Z łoskotem okropnym przerwano mowę jego i zatkano mu usta. Mimo tego, te nieszcześcia pełne słowa, sprawiły wielkie oburzenie pomiędzy obecnemi.

Anzelm posłał natychmiast po gwardyana klasztoru minorytskiego a tenże wyłożył sofistycznym, to jest przesadzonym wymysłem, klątwę za nieważną, ponieważ jéj fararz trzy razy nie wymówił, ani słowem „Amen“ nie potwierdził. Dodawał im gwardyan otuchy, mówiąc: „Niebójcie się!“ my Minoryci nie pokładamy żadnej wartości w dobrach do-

czesnych; my nie utracić niemożemy, dla tego nam też nigdy na myśl nie przyjdzie, żebyśmy wam nabożeństwa naszego życzyć nie mieli. Niepotrzebujecie nam płatów, ani też dziesięciny od srebra dawać.“ — Wrzaskliwem głosem pochwalił magistrat mowę jego. — W téj saméj chwili wprowadzono starszego urzędowego przedmieścia Rozbarku, Grzegorza Góreckiego do sali, który usilnie o niezwłoczne posłuchanie prosił.

„Szanowni Panowie!“ rzekł on: „my Rozbarczanie sąśmy wiernemi poddanemi łaskawego książęcia naszego na Kozłu; niechcemy mieć żadnego uczestnictwa przy gwałcie, którego wy się z prawém duchowieństwem naszym dopuszczacie; a jeżeli natychmiast księża uwolnieni nie będą, my ich rękami naszemi uwolnić chcemy!“

Rozjuszony i niepamiętny na dostojność swoją, skoczył burmistrz i wypchnął Góreckiego za drzwi, krzycząc: wy Rozbarscy chłopci! Izaliż wy nam prawa przepisywać chcecie? Precz z tobą! — Ksiądz Anzelm ułagodził szalonego usiłując oraz, starszego wójta z Różbarku łagodnemi słowy uspokoić. — *)

*) Od tego czasu pracował Górecki, odłączyć Rozbark, jako wieś osobną, od miasta Bytomia, a co on

Poszedł znieważony Górecki i opowiedział na Rozbarku, co się w mieście działo. Za ledwie godzina pominęła, zebrało się kilka set mieszkańców narzeczonego przedmieścia przy kościele św. Ducha, mających rozmaite narzędzia, co spokojnych zamiarów nierokowało. Tłum ten chciał fórtkę w murze miejskim do ogrodu klasztornego prowadzącą gwałtem wylamać; wtedy właśnie zabrzmiał dzwon od św. Ducha w poważnem wołaniu na nabożeństwo.

W umyśle pobożnym zapomnieli zgromadzeni wszelkiej złości, udali się do kościoła i słuchali zwyczajnej Mszy św. piątkowej. Nabożeństwo trwało dziś jednak dłużej jak zwyczajnie, albowiem ksiądz Wawrzyniec historią założenia kościoła św. Ducha i szpitala do niego należącego, następującym sposobem opowiadał:

— „Było to w drugie Święto zesłanie Ducha św. roku 1298 mówił ksiądz poważnie, — gdy rota polskiej konnicy pod bramę krakowską miasta naszego Bytomia nadjechała

rozpoczął, to następcy jego wykonali, bo w roku 1421 do rozdziału przyszło, odkąd też Rozbark z miastem niema nic pospólnego oprócz kościoła farnego i cmentarza u św. Trójcy.

i o wolny wstęp i nocleg prosiła. Magistrat *) odmówił jednak obojga, albowiem był troskliwy, żeby większe tłumy obcych przyjsć i miasto wyrabować mogły. Żołnierstwo przybyte rozłożyło się niedaleko młyna, na pagórku zielonym. Z miasta dostarczono im zatem namiotów i żywności, ponieważ się jeden z jeźdźców Wojciechem, opatem bogatego klasztoru polskiego Miechowa mianował.

Gdy dnia następującego z miejsca ruszyli, mówił jeden z jeźdźców opata: „Ach! pragnę sobie serdecznie, żebym téż mógł to miejsce, na którym nocleg pierwszy na cudzem gruncie miałem, uwiecznić wystawieniem kościoła! Nie jestem ja tego godzien! O jak ciężko było mi w ucieczce opuścić ojczyznę moję.— Zastanowił się mówiący rycerz w głębokich rozmyślaniach, które czcigodny opat obietnicę, że on życzenie tak żywe jego uskuteczni, rozpędzić usiłował.

Gdy w podróży swojej ku Opolu do księcia Władysława przybyli, zwierzył temuż Wojciech życzyźnie męża tego, któremu to-

*) Według wieści ludu pospolitego, wołał posłany naprzód Herold na straż wiejską. Ta zaś zapytała: „Któż jesteś?“ Nastąpiła odpowiedź: „Swoj!“ a straż odrzekła: „A tóż tam do rana stój!“ Późem dalsze nalegające prośby nastąpiły,

warzyszył. Bogabojny i pobożny książę kazał niezwłocznie wystawić kościół z drzewa pod wezwaniem Ducha św. na temto samem pagórku i oddał go pod opiekę opata w Miechowie z warunkiem: ażeby dochody z Chorzowa i Dębu, które przodkowie zakonowi jego darowali, na utrzymanie kościoła tego używane były. Chętnie zezwolił na to szlachetny opat. Gdy zaś po upływie jednego roku ów rycerz polski, który był Władysławem Lokietkiem, królem polskim, z pielgrzymki swój do Rzymu powrócił i na tronie swoim ojcowskim osiadł, był za staraniem jego przez zakonników Miechowskich i szpital przy kościele św. Ducha wystawiony i jeszcze niektórymi gruntami uposażony. Stało się to roku 1299. — Tyle o kościele św. Ducha w którym się znajdujemy nabożni moi zgromadzeni! — Z temi słowy zakończył ksiądz Wawrzyniec nabożeństwo.

Zaczem głos dzwona św. Ducha ludowi z Rozbarku był głosem pokoju, był on obydwóm nieszczęśliwym księżom na ratusie Bytomskim brzemieniem śmiertelnym. Nie bawił się magistrat długo, lecz wyrzekł śpieszenie nad pomazańcami pańskimi wyrok śmierci! — Wywiedziono ich raptym bramą Górską—albo raczej Miechowską—ponieważ

wtedy jeszcze miasto Tarnowskie Góry całe nieistniało, podle szubienice za przedmieście Gliwickie, aż do stawu świętej Małgorzaty. Niedając im ani tyle czasu, żeby przynajmniej jeden pacierz zmówić, lub kilku słowy z tem światem pożegnać się byli mogli, wrzucono niewinne ofiary chciwości i Ducha sekty w potoki. Fararz Piotr utonął natychmiast, kapelan utonął także i zdało się że już bój ostatni wykonał.

Już się grómada rozchodziła, wtem obejrzał cię jeszcze nazad sendyk Wojtacha i postrzegł, że się Mikołaj powoli z wody wydobywał. „Patrzajcie! krzyknął — patrzajcież! jeden nazad wyłazi. Natychmiast wrócił się lud i uchwycił kapelana, dziwnym sposobem rozwiązanego. Nieszczęśliwy prosił daremnie, aby mu życia jego tak długo szanowano, póki by im cudu o najświętszej Pannie nieopowiedział, którą właśnie przy utonieniu fararza widział, jako ona ze szatanem Szarlaj zwanym, walczyła. —

„Prędko!“ kiwał złośliwy syndyk, a kat wtrącił go powtórnie do stawu. Kapelan jednak, który w strachu przed śmiercią! nowo założone powrozy rozerwał, walczył rozpacznie, ile mu tylko siły jego wystarczały. Kat bezbożny, niemogąc go zanurzyć, wziął

topór i uderzył go po trzykroć w ramiona i tak ciężko raniony, utonął zamordowany. —

Widok krwi ochłodził zajadłość rozjątrzonego gminu. Złe sumienie odezwało się już teraz w powszechnym odurzeniu a w téj chwili nadszedł ojciec Jacek, prowadzący obywateli Rozbarku. Ledwo ci obaczyli, co się za okrucieństwo stało, zaczęli żałośnie krzyczeć i uniesieni gniewem sprawiedliwym, uderzyli na mieszczanów. Lecz Jacek skinął gięstem i rzekł: odstapcie precz od przeklętych! — Pomagajcie barankowi zakrwawionemu!“ i kapelan, jako wieść niesie, został przez Rozbarczanów z wody wyciągniony.

Niby błyskawicą piorunową wskroś dotknięte, uspokoiły się umysły poruszone, a starszy Górecki, wójt Michał Kochłowski i ławnik Kneflikowski, zanieśli skałeczonego księdza Mikołaja do folwarku Rosbarskiego, Klukowiec zwanego, następnie zaś, podług podania ludu, do pustelni obok ich kościółka, gdzie niegdyś miał stać dąb ogromnej wielkości, w którym, nim światło chrześcijaństwa w tych okolicach zajaśniało, złe duchy przemieszkować miały. Za mianowaniami urzędownikami osobami szli wszyscy Rozbarczanie i niektórzy obywatele z miasta, a któ-

ty jeszcze przychylność do księży swoich sercach tkwiła.

Na miejscu zgroźnej zbrodni panowała głucha cichość — nikt nie odważył się słówka przemówić. Przyleciało wtedy hurmem stado sroków, okropny wrzask czyniących, a z probostwa św. Małgorzoty (w onczas wodą otoczonego i okopym wysokim do koła opasanego) widziano wylecieć sowę, na którą sroki naciarały. Ojciec Jacek chciał właśnie mowę zacząć, ale mu wrzask przeraźliwy ptaków przeszkadzał. Zawołał więc uroczyscie na nie: „Uciekajcie na zawsze z téj okolicy!“ W okamgnieniu, podług podania ludu uleciały ztamtąd sroki i od dnia tego około Bytomia już się żadna widzieć nie daje. Obrócił się potem mąż święty do ludu drżącego i mówił: „Słuchajcież i uważajcie, co wam oznajmię! kruszcze srebrne oddaliły serca wasze od Boga i otworzyły się marnemu mammonowi; jesteście bogaci, lecz panowania chciwi, staliście się okrutnikami; dla tego też obecnie błogosławieństwo to zniknie, i dopiero się zaś po jakimś czasie pokaże, kiedy pokolenia wasze wygasną!

„Zaprawdy! — chociażby się po stuleciach źródło błogosławieństwa górniczego zasię otworzyć miał, nigdy już mury miasta waszego

kłatwą nabrzmiałe srebro nie zobaczą. Potomkowie wasi znajdą w dobywaniu i zysku mniej wartości mających kruszczów w nagrodę za to, co się straciło; wiercie jednak słowom moim prorokującym! nigdy im się nie zdarzy, żeby owoców swój pracy bez uszczerbku używali — będą je musieli dzielić z obcemi przychodniami, a to będzie skutkiem kłatwy, którą okrucieństwo dzisiajsze na głowy wasze zwinęło. Odbierzcie tę karę, którą Bóg wszechmogący na was i dzieci wasze dopuścił! Nawróćcie się i czyńcie pokutę! Nauczcie się pogardzać dobrami dla zbawienia dusz waszych nieśmiertelnych, abyście przy sądzie ostatecznym przez pokutę oczyszczeni przed tronem Boga sprawiedliwego stanąć mogli, a Bóg się nad wami zmiłuje.“

Za każdym słowem podnosił się głos czci-
godnego kapłana i wzruszał serca głęboko
zbrodniarzy rozczulonych. Gdy mowę swoją
zakończył, widzieli jak się twarz jego jaśnia-
ła i zdało się im, jakoby Anioła przed sobą
mieli. Wszystkie następne wypadki téj zgrozy
przedstawiały się każdemu żywo przed oczy.
Ani słowo, ani żaden głos niewykradał się
z piersi ściśnionych, owszem z głową pochy-
loną i wzrokiem ku ziemi spuszczonej, kwa-

pili się nieszczęsną dolę przeczuwający mieszczanie do domów swoich.

Ojciec Jacek nawiedzał jeszcze ostatni raz całą swoją nad bystrym zdrojem. Niezadługo widziano go nad nim, za biedne miasto gorąco się modlącego. Tu rozerwał mu się sznurek różańca jego a paciorki rozleciały się po piasku czerwonym i mieszały się z wodą sączącą, tak, że ich niemożna było pozbierać. — „Rośnijcież!“ rzekł mąż święty, aże za czasem zdrój ten sączyć przestanie. *)

Po tych słowach powstał i już niebył nigdy widziany. Poszedł on w dalekie kraje, nauczał nad czarnym morzem i aż do granic Chińskich opowiadał Ewangelią; наконец powrócił do Krakowa, gdzie życie swoje świętobliwie zakończył.

Ksiądz Mikołaj umarł dnia trzeciego na Rozbarku. Tak długo też tam zakrystyan kościoła farnego, Bernardy Worpicki, bawił, poczem zamierzył sobie pielgrzymować do

*) Powieść ludu. Zdrój (źródło) św. Jacka jest w kamieniu kruchym, w którym cząstki (Enevinitem) kilkorga gatunku się znajdują i wodą wypłokane bywają. Mają one wielkość ziarnka grochowego, postać kamienia młyńskiego i są z takowego kamienia, w jakim się znajdują.

Rzymu, w celu sprawozdania przed Ojcem świętym o tym, co się w Bytomiu stało. Z odwagą mężką wykonał on swój zamiar.

Bojaźń przed gniewem Boskim wisiała nad miastem jakoby ciężka chmura nawalnicą napelniona. Niestety! wkrótce nędze wszelakie przyszły na to miejsce. Dręczeni zarzutami sumienia odważyło się czterech radców a pomiędzy nimi i syndyk Wojtacha, udać się do Rzymu i tam o rozgrzeszenie błagać głowę widzialną kościoła świętego. Alić oni byli na dożywotnie ostre uwięzienie osądzeni i nigdy już miasta owego rodzinnego nie oglądali.

Kłatwy, błyskawica, przez Papieża rzucona, ciężko miasto raziała. Utraciło ono kilka przywilejów i kollaturę kościoła farnego. Kościoły miejskie były pozamykane i na próżno wzdychali mieszczanie, dzieci ich i wnuczki o posiłek chrześcijański. Miasto przyszło nagle do upadku, wszelka staranność dawniejsza ustała.

Ledwo że kilka tygodni po owym nieszczęsnym dniu upłynęło, otworzyły się wody podziemne w kopalniach; daremne były wszelkie prace, zatrzymać zalewy. Wszystkie żywioły zjednoczyły się niby ku temu, ażeby nieszczęście miasta uzupełniły. Pożar (ogień)

okropny spustoszył w tem jeszcze roku miasto, a burmistrz Fabrycy zgorzał w własnym swoim domu.

Niektóre szczątki trupa jego były przed klasztorem Minorytów pogrzebione. Nie minęła kara Boska i proboszcza Anzelma. Był on właśnie wtedy w chodniku podziemnym i już się nigdy więcej niepokazał. Podług domniewania był to szkielet (kościotrup) jego, który po upływie blisko pięciu set lat przy kopaniu gruntów z latarnią rogową znaleziono.

Za przyczyną opata klasztoru św. Wincentego w Wrocławiu zniósł nareszcie Ojciec św. w Rzymie, po siedmdziesiąt latach nędzy i smutku, klątwę kościelną. *)

Kościół farny z kolaturą (czyli prawem stanowienia proboszcza) był Wincentynom

*) Co klątwa takowa w owych czasach znaczyła, z dzieł historycznych doczytać się można. Z Bytomianami niewolno było nikomu żadnego utrzymywać społeczeństwa i podług gminnej a do prawdy stósującej się tradycyi, rzeczy, bez których się mieszczenie w tym czasie obejść nie mogli, tylko im do granic gruntów miejskich dostarczane bywały.

Opis téj niedoli ma się znajdować w Bytomiu, atoli go żadnem sposobem na widok publiczny wydostać niemożna. Ci bowiem, co go posiadają, nie wiedzieć z jakiej przyczyny, z milczeniem go zachowują.

oddany a odtąd mieszkali księża z klasztoru tegoż wysyłani w mieście przy kościele Wniebowzięcia Najśw. Panny Maryi.

Kościół św. Małgorzaty stał się kościołem pogrzebowym, gdzie się z wsi przynależących do parafii Bytomskiej chowają, albowiem tylko Rozbarczanie, jako się już wyżej namieniło, na cmentarzu świętej Trójcy w mieście z mieszczanami pogrzebać się mogą. Z budowli probostwa powstały folwarczne pomieszkania i gmachy, staw zaś tamtejszy wysuszył w czasach niedawnych ostatni proboszcz z zakonu księży Wincyntynów, nazwiskiem Nawrat.

Po dziś dzień można jeszcze widzieć na pamiątkę, a to w dzień 14. Września r. 1363 zamordowanych dwóch księży nad głównymi drzwiami kościoła farnego w Bytomiu, dwa z kamienia wyciosane kielichy, które przy potrzebnej reparaturze kościoła farnego roku 1855 zginęły.

Św. Stanisław,

biskup Krakowski.

Pierwszy z Polaków, wielki i daleko sławny męczennik Chrystusów i patron narodu polskiego Stanisław św. był synem Wielisława z Szczepanowa i Bogny. Ci szla-

chetni z rodu, z cnoty i bojaźni Bożej, w czém jest prawdziwie szlachectwo, szlachetniejszymi byli. O to się najbardziej starali, co jest fundamentem cnót wszystkich, ćwicząc się w służbie Boga żywego, od którego jest wszystko, co mamy i czego się spodziewamy. Mając się dobrze, w Szczepanowie wsi swój, dwie mile od Bochni, kościół P. Bogu pod tytułem św. Magdaleny wybudowali. Będąc bez dzieci, obiecali P. Bogu, jeźliby im dał potomstwo, że je na służbę Bożą poświęcą. Długo spełnienia życzeń swoich próżno czekając, bez szemrania zgadzali się z wolą Bożą, aż niespodzianie, bo po 30 latach dopiero małżeństwa Bogna, z obojga wielką radością, powiła Syna. Dali mu na Chrzcie św. imię Stanisław, jakoby mówili: stań się sława z niego, Bogu i kościołowi Jego. — Już z młodości pokazywał przyszłą świętobliwość żywota; był bowiem skromny, wstydlivy, statecznych obyczajów, ochotny do nabożeństwa i skłonny do nauk. Widząc te piękne w nim przemioty rodzice, chcąc je bardziej rozwinać, podrastającego syna najprzód do Gniezna, gdzie wówczas kwitnęły nauki, a potem do Paryża, do Francyi posłali. Tam, mając dowcip i wielką pamięć, przy świętych obyczajach i ucziwem

zachowaniu się, wielki sobie skarb nauk zebrał, a osobliwie w prawie duchowném. Wróciwszy się do Polski, swými pokornými, wstydliwými i świętymi postępками z wielką nauką złączonemi, oczy na siebie wielu obrócił. Biskup na ówczas Lambertus albo Zula poznawszy go, począł go miłować i do stanu kapłańskiego zachęcać. Jakoż Stanisław idąc raczej za popędem serca, jak za namową biskupa, kapłanem został, a będąc uczonym i wymownym, w kościele krakowskim i w całej dyecezyi kazania miewał, któremi ludzi do miłości Boskiej zapalał. Co widząc Zula biskup, tego bardzo pragnął, aby po nim na biskupstwo krakowskie wstąpił i w starości swój zlecił mu wszystkie sprawy i rzady duchowne, jako dozorecy kościołów. Po jego śmierci od wszystkiego duchowieństwa zgodnie biskupem krakowskim obrany został. Jednak pokorny i święty kapłan długo tak wysokiego urzędu przyjąć nie chciał, wymawiając się nieudolnością, aż nareszcie prośbami duchowieństwa zniewolony, przy nabożnych modlitwach i postach wstąpił na biskupstwo, mając lat trzydzieści sześć, od Aleksandra II. papieża potwierdzony. Zostawszy biskupem chciał być wzorem dla wszystkich i w tym celu wszelkie staranie ku udoskonaleniu siebie samego obrócił. Sam

odwiedzał plebanie, a jeżdżąc po wsiach służby Boskiej i pożytku dusz ludzkich doglądał. Co mu czasu od prac kościelnych zbywało, na modlitwach i czytaniu Pisma ś. przepędzał. Nic mu miłszém nie było, jak wdowy, sieroty, ukrzywdzonych ludzi i w nieszczęściu zostających wszędzie bronić i wspomagać. Ubogim, ręką i posługą swoją często służył i nogi im umywał; o krzywdach sobie uczynionych zaraz zapominał, i z serca je bliźniemu odpuszczał. Razu jednego zaproszony od Jana Brzeźnickiego, aby mu poświęcił kościół w Brzeźnicy; gdy tam przybył, nie wiedzieć o co z domu wygnany został przez niego. Całą noc na jednej łacie przepędzić musiał św. Stanisław, prosząc za niego Boga; a ten postrzegłszy nazajutrz swój nierozumny postępek, udał się do biskupa, padł do nóg jego i prosił o przebaczenie. A mąż św. nietylko mu krzywdę wyrządzoną odpuścił, ale chcąc mu pokazać, że o niej zupełnie zapomniał, wrócił się do wsi jego i kościół mu poświęcił. Gdy tak wysokimi cnotami, chrześcijańskiej i kapłańskiej doskonałości przed Bogiem i ludźmi słynął, i jako jasna pochodnia na świeczniku, wielu ludzi na drogę zbawienną przykładem i nauką przywodził, ściągnął na siebie gniew i nienawiść króla Bolesława, Śmiałym nazwa-

nego, którego w swój pasterskiej gorliwości o nieprzystojne i niemoralne życie strofował. Był ten Bolesław, czwarty król od Chrobrego, wielki miłośnik sławy i ojczyzny, królewskiemu cnoty jaśniejący, niegdyś nabożny i o chwałę Bożą gorliwy. Ale jako na bujnej ziemi i chwastu wiele się rodzi, tak do tych wielkich cnót przymieszały się były wady szkodliwe i nieczne postęпки, które trzeba było wykorzeniać. Oddany ten król rozpuszcie i w sprosnych grzechach niepowściągliwy, był w karaniu okrutny, w podatkach drapieżny, w szczęściu hardy, w uporze niepohamowany. — Widząc św. Stanisław, iż to duchownych rzecz była, pana upominać i przestrzegać, a arcybiskup gnieźnieński milczał, udał się sam do niego, i słowami Boskiemi zaklinał, aby gorszącego życia zaniechał. Stawiał mu przed oczy P. Boga i gniew Jego, utratę zbawienia, zniewagę królewskiego majestatu, zgorszenie poddanych, z płaczem go prosząc, aby się upamiętał. Król mu za napomnienie dziękował, ale w sercu takim jak dawniej został. Skoro wyszedł od niego św. Stanisław, śmiał się z niego z swymi pochlebcami, i gorsze jeszcze jak dawniej prowadził życie. Tém żywo przejęty i zasmucony biskup chcąc króla z przepaści występku wyrwać, jeszcze raz

udał się do niego, i śmiało go o życie niemoralne strofował, lecz ten nie tylko na upominania uszy zatykał, ale nawet lżąc biskupa, z gniewem go wielkim i niełaską odprawił. Nadto przemyślał jeszcze, jakoby publicznie św. Stanisława znieważyć i dobre imię jego w oczach wszystkich obrzydzić. Szukając do tego powód znalazł wreszcie następujący, choć niesprawiedliwy.

Kupił był św. Stanisław nie sobie, ani powinowatym ale kościołowi i sługom Bożym, wieś Piotrowin nad Wisłą, od Piotra, téjże wsi dziedzica, który wzięwszy pieniądze, niedługo potem umarł. Król namówił synowców zmarłego Piotra, Jakóba i Sulisława, aby się wsi upominali. Pozwany był św. Stanisław przed króla samego, który u Solca sądy odprawował. A gdy się na świadków odwoływał biskup ś., świadkowie królewską pogroźką zastraszeni, świadczyć prawdy nie chcieli. Co miał czynić św. biskup? gdzie nie tylko szło o kościelną szkodę, ale i sławę jego, aby mu fałszywie niesprawiedliwe i łakome nabycie nie było przeczytane ze zgorszeniem bliźnich. Uciekł się do Pana Boga i natchniony duchem Jego, odważył się na rzecz niesłychaną, ale u P. Boga podobną. Rzekł głośno na owych sądach wielkich: „Ponieważ u ludzi żywych prawda i

bojaźń Boża ginie, uciekę się do umarłych za pomocą Boga prawdy obiecuję tu po trzech dniach Piotra stawić przed sądem, już od trzech lat umarłego, od któregoś tę wieś kupił, aby on sam, co mówię, zeznał, a jeżeli tego nie uczynię, niech rzeczy mojej upadam. — Co gdy król i wszyscy przytomni słyszeli, śmiać się i szaleństwo biskupowi przypisywać zaczęli. A św. Stanisław przez trzy dni z duchowieństwem swoim poszcząc i modląc się, z procesją i w ubiorze biskupim udał się do wsi Piotrowina, do grobu jego, wszystkim sąsiadom wiadomego, w kościółku ś. Tomasza. Tam długo modląc się kazał grób otworzyć, ciało już prawie spróchniałe odkryć i zawołał do P. Boga: „Boże wszechmogący, u Ciebie jest wszystko podobném! Ty, który prawdą będąc, w prawdzie się kochasz, a fałsz wszelki i nieprawość potępiasz, wzbudź mi i kościołowi Twemu świadka, a osądź sąd mój, który ja Tobie samemu poleciłem.“ I rzekł do umarłego: „Piotrze, w imię Trójcy św., Ojca, Syna i Ducha św. rozkazując, wstań i pójdz do sądu i świadcz moją prawdę.“ Porwał się zaraz Piotr z ciałem zupełném, z wielkiém ludu wszystkiego podziwieniem. Prowadził go przed króla i stawił, mówiąc: „Oto masz królu samego Piotra, któremu ja

tę wieś zapłaciłem; jemu wierz i zobacz, iż jest tenże sam, mocą Bożą z grobu wskrzeszonego.“ — Długo król, dwór jego i wszystek lud zdumiały prawie od siebie odchodził i milczał, patrząc na te cudowne i niesłychane rzeczy. Piotr najprzód przemówił: „Jam królu prośbą tego biskupa wzbudzony zostałem, abym go zastąpił i świadczył, że mu wieś moją własną sprzedałem, do której żaden mój krewny nie miał prawa i zupełną od niego zapłatę odebrałem.“ Obróciwszy się potem do synowców swoich, gromił ich słowami i do pokuty przywodził, że taką zniewagę mężowi św. uczynili. Gdy zatem powstało wielkie szemranie pomiędzy wszystkimi przytomnymi, król inaczey uczynić nie mogąc, pomienioną wieś św. Stanisławowi i kościołowi krakowskiemu przysądził. Pytać wiele ludzi chciało Piotra wskrzeszonego o rzeczy świata onego, ale on bardzo mało mówiąc, a nie bez dozwolenia ś. Stanisława nie powiadał, tym ich zbywał, iż mu wolno nie było oznajmić co takiego. Pytał go ś. Stanisław, jeźliby chciał który tu czas na świecie dla pokuty przebyć, czyli się na on świat wrócić, powiedział: „iż wolę jeszcze w czyściu mało co wycierpieć, a niżli tu w niebezpieczność się grzechu zasię powtórę wdawać, mam nadzieję w ofiarach, i modli-

twach twoich ojcze święty, iż rychło od onéj męki wolnym zostanę“ i obiecując mu św. Stanisław modlitwy swe w grób go jego wprowadził, w którym skoro legł, ducha Bogu oddał, i znowu pogrzebiony był. O dziwne a niesłychane i tak bardzo jawne cudo, którym wsławić chciał moc swoją P. Bóg na pokazanie czystej dusze i żywota Anielskiego tego naszego Polaka. To cudo nie tylko w Polsce, ale się po wszystkim Chrześcijaństwie ogłosiło: tak iż Concilium Basiliense, sławne jest przeciw Hussowi (który twierdził, iż się imion kościołom trzymać nie godzi dysputując i ś. Stanisława czcząc wspomina. Cudem tym nie tylko się św. Stanisław u ludzi wstawił, ale i Polacy, którzy z Rusią siedm lat u Knowa mieszkając słabnąć w wierze powszechniej poczęli posieleni są bardzo. Bo iż na wstępie wiary cudownie mieli mocniejszy tym jednym tak jawnym zostali. Przeto odmów heretyckich przypuszczać nie trzeba, którzy tak dziwnej sprawie Bożej tym uwłoczyć i lżyć ją chcą. Niewiedzą głębokich tajemnic rady boskiej, która tak wielkim cudem inne wieczne a duchowne pożytki ludziom jednała i zbawienie ich sprawowała. Odtąd ucichł nieco gniew królewski przeciw św. Stanisławowi, ale nie długo z tej przyczyny wybuchnął. Wypra-

wił się Bolesław przeciw Wszewołodowi, książęciu kijowskiemu, i innym okolicznym książętom, nad którymi wielkie otrzymawszy zwycięstwo, Kijów zabrał i tam z rycerstwem przemieszkiwając w próżnowaniu i rozpuszcie prowadził życie. Upominał go o to św. Stanisław, ale to nie nie pomogło i zacięty gniew króla nań sprowadziło. Biskup św. widząc, iż daremnými były jego napominania i przestrogi, rzucił klątwę na króla, kazał go się strzedz wszystkim wiernym, do kościoła nie wpuszczać i za wyłączonego z zgromadzenia wiernych uważać. Tém rozniewany Bolesław, św. Stanisława zabić umyślił, gdy się dowiedział, że on na Mszę u św. Michała na Skalce, kościół żołnierzami otoczył, i nie zważając na straszliwą ofiarę Pańską, którą sprawował biskup, wywlec go od ołtarza kościoła i zabić rozkazał. Żołnierze wysłani widząc Stanisława w biskupim ubiorze u ołtarza, uszanowaniem i strachem przejęci, uciekli. Wyprawieni inni toż samo uczynili, nie mogąc się odważyć na taką zbrodnię. Biskup wiedząc o swem niebezpieczeństwie, nie odstąpił od ołtarza, tylko polecając się Chrystusowi za swych nieprzyjaciół i króla modły gorące do Boga zasyłał. Wtém sam król wbiegł do kościoła, miecz w głowie Stanisława św. utopił i za-

mordował. Żołnierze porwali ciało i wywłókłszy je przed kościół, na małe części rozsiekali. Tym widokiem wzruszeni kapłani i kanonicy krakowscy nie dbając na okrucieństwo królewskie, pozbiali rozproszone członki i pochowali na Skałce, w tym samym kościele, w którym był zabity. To okrucieństwo niesłychane sprawiło, iż Grzegorz VII. papież na całą Polskę ekskomunikacyą rzucił, i królewską dostojność i koronę Polakom odjął. Wzgardzony Bolesław od wszystkich, z Polski uchodzić musiał. O jego śmierci historycy różne podają wieści. Jedni sądzą iż do Węgier uciekł, gdzie po dwóch latach zachorowawszy oszalał, a po górach biegając od własnych psów pożarty został. Drudzy powiadają, iż w Wilaku, w pewnym klasztorze, zataiwszy stan i imię swoje, w pokucie życie swe zakończył. Po dziś dzień tam grób jego i napis na kamieniu pokazują.

Pobożni górnicy.

Jednego czasu żyło trzech górników mieszkających w Czechach w bliskości kutnej góry i pracujących każdego dnia, który tylko Bóg zjawił, od wczesnego poranku aż do ciemnej nocy. Ponieważ tak pilnemi byli,

i w karczmach niesiadali, ażeby tam zarobek ciężko zarobiony roztrwónić, mieli też dla siebie i domowników swoich porządne wyżywienie, żyli sobie pocziwie i nigdy im na niczem nieschodziło, mieli bowiem zawsze tyle, ile im koniecznie do swego obejścia potrzeba było, — wszakże Bóg łaskawy nikogo nieopuszcza, kto tylko w pocziwości i według sił swoich obowiązkom swoim zadosyć czyni.

Ile razy ci trzej górnicy rano z góry na dół zestępowali, zabrawszy ze sobą zawsze trzy rzeczy, mianowicie: książeczkę, z której modlitwy swoje odnawiali, lampki swoje, tyle oleju w sobie mieszczące, ile im go na jedną szychtę wystarczyć mogło, a na koniec po kawałku chleba, na zaspokojenie głodu, po skończonej mozolnej robocie. Każdą razą, nim młotków swych ruszyli i skałę twardą łamać zaczęli, uklękli w szybie i modlili się do Boga, żeby im do pracy siły i ochoty udzielić raczył, poczem rzeźwo i wesoło pracować zaczęli.

Jednego dnia kiedy z pomieszczeń swych z kilofami i lampkami swemi wychodzić chcieli, rzekła żona do pierwszego: miły mężu, dziś mi jest tak ciężko na sercu, jak gdybym cię już nigdy żywego nie oglądała.

Jeżeli mi chcesz wolać moje uczynić, zostań się lepiej w domu.

„A z czegożbyśmy żyli, gdybym ja w próżniactwie ręce założył?“ zapytał mąż.

„Ach, wolę ja iść jeden raz bez wieczerzy spać, aniżeli ciebie dzisiaj do szybu puścić, proszę cię, niechodź.“—

Górnik poglądał z podziwieniem na żonę swoją i już był blisko na tem, narzędzie swoje położyć, gdy mu nagle na myśl przyszło, że już dwaj współbracia jego w szybie będą i tam sami robić niemogą.

„Żono, niezatrzymuj mnie,“ rzekł przeto: „Wszędzie w ręce Boskiej jesteśmy, a jeżeli będę miał umrzeć, to mię śmierć tak dobrze w domu, jako i w szybie znaleźć potrafi!“ I przy tych słowach wziął kilof i perlik na ramię i szedł prosto ku górze. Po małej chwili przyszli też i dwaj współpracownicy jego, modlili się oni według dawnego zwyczaju i udali się potem wszyscy trzej do roboty. Przedtém rozmawiali zawsze cokolwiek ze sobą, zaczęli twarde skały łamali i odrębować usiłowali, ale się dziś żadna mowa przyczepić niechciała, robili więc w cichem milczeniu.

„Cóż to ma znaczyć, moi mili?“ zapytał na koniec pierwszy, którego żona jego do

roboty puścić nie chciała. „Adyć to dziś cale inaczej jak zwykle między nami.“ Drugi westchnął i rzekł: Ja sobie o mojej żonie dumam i ona mi z myśli zejść nie może. Kiedy dziś z domu wychodzić chciałem, ścisłała mnie ona serdecznie za szyję i mówiła, że ją tęsknota wielka zbiera a że jej przytem tak ciężko na sercu, jak gdybyśmy się na długie czasy widzieć nie mieli.

Prosiła mnie ona usilnie, żebym się przynajmniej dziś w domu zatrzymał.

Pierwszy postrząsał w zadumieniu głową, a trzeci rzekł: „toć są dziwy: Mnie się też tak ze żoną moją powodziło.“

„I mnie nie inaczej,“ dodał pierwszy. Potem trzęśli wszyscy trzej głowami i mieli wielką chęć, wrócić się do domu, chociażby przyszło i jeden raz obejść się bez wieczery; obawiali się jednak, żeby się na pośmiewisko ludziom wystawili, dla tego pracowali tak długo, aż się już wieczór zbliżał.

„Chodźmyż już,“ rzekł pierwszy, „wszakżeśmy już sobie za dzień zarobili.

„Tak jest,“ rzekli drudzy, i zbierając narzędzia swoje i chcąc właśnie ze szybu wychodzić, usłyszeli okropnie łoskotanie i grzmienie, czując przytem, jako pod ich nogami ziemia drżała. Wielki Boże! krzyknęli oni, to się

szyb zawalił i my wszyscy trzej jesteśmy żywo pogrzebieni! A kiedy się najprzód wycisnąć starali, znaleźli wychód w samej rzeczy zawalony i postrzegli, że się zaczyna część góry zapadła.

Miły Boże! przemówił pierwszy, cały jako trup wybladły, do swych towarzyszy, którzy jak wapno na ścianie wybladli, „żony nasze zaiste się niemało polekały. Lepiejby było, gdybyśmy ich byli słuchali!”

„Tak, tak,” rzekł drugi, otóż teraz mizernie głodem zamorzoni będziemy, bośmy już chleb nasz zgoła wszystek zjedli.”

„I w ciemności też umierać musimy, dodał trzeci, wszakże na jedną tylko szychtę oleju zabraliśmy ze sobą, a ten za chwilę zgoreje.”

Poglądali potem smutno po sobie i o mało że w smutku i serdecznój boleści wszyscy wraz niezapłakali. „Ale” iżaliż tu w próżnowaniu stać i przynajmniej prośby nieuczyniemy, abyśmy się przez gruzy i zawaliska na wierzch wydostali?” odezwał się pierwszy.

„To się rozumie, to czynić chcemy” odrzekł drugi, pracujmy, dopóki nam się lampy palą i póki jeszcze ręce nasze siły mają.”

„Ja też tego zdania jestem,” dodał trzeci. „Módlmy się jednak wprzód do miłego Boga, polecając w ręce jego losy nasze!”

Drudzy dwaj przystali na to, położyli narzędzie swoje na stronie, uklęknęli na wilgłej ziemi, podnieśli serca i ręce do Ojca w niebiesiech. A gdy go tak prawdziwie w wierze i ufności wzywali, przyszła na nich cudowna wesołość, zaczęli smutek ze serc ich, jakoby mgła przed słońcem unikał. Zaczęli robić pracowali i kopali ciągle i bez ustanku a ręce ich nieustawały, ani też narzędzia ich się niepsuły.

Dzień za dniem, noc za nocą, miesiąc za miesiącem, rok za rokiem — tak czas upływał, chleba im nie ubywało, lubo go po troszce używali, kiedy im się jeść chciało; ani też lampy niewygaszały, lubo tylko na jedną szychtę napełnione były. Mniemali więc ci mężowie, że dopiero jedną warstwę przerobili; atoli oni już zupełnie przez siedm lat w górze bawili, ale tego niepostrzegali, że im w tak długim czasie włosy i brody na łokieć długo porosły.

Żony jeich miały ich zatem za zmarłych. Skoro się dowiedziały, że się góra zapadła i szyb ten zawaliła, w którym ich mężowie byli, mniemały one, że ich skały zawalone pozabijały, dla tego też onych jako nieboszczyków opłakiwały.

Właśnie już siedm lat pominęło, jak się to nieszczęście zdarzyło, gdy się pierwszy

z tychże trzech górników w szybie odezwał, ciężko oraz westchnąwszy: „Ach kiedyby wola Boska była, pragnę sobie, jeszcze aby jeden raz widzieć światło dniowe, i wtedy chętnie bym chciał umierać!“

Słyszac to drugi, odezwał się także ze życzeniem swoim mówiąc: Jeżeli się to z wolą Boską zgadza, żebym jeszcze przynajmniej jeden raz mógł przy stole ze żoną moją obiadować, chciałbym już potem chętnie umierać!“ Dał też i trzeci temi słowy słyszeć: „Ja zaś chciałbym sobie życzyć, żebym jeszcze mógł żyć przez jeden rok z małżonką moją pospołu. Gdyby mi Bóg tego szczęścia udzielił, jużbym się na potem śmierci nie lękał i owszem chciałbym z ochotą żywot doczesny opuścić.“

A oto, gdy ostatnie życzenie swoje powiedział, zagrzmiało i trzaskało z okropnym hukiem w głębokościach góry i nagle się góra od wierzchu przez pośrodek rozpadła, i szpara szeroka się rozdzieliła, przez którą trzej mężowie na światło dniowe wynijść mogli. A gdy pierwszy wyszedł i okolice piękną, lasami i polami okrażoną, obaczył i ptaszki śpiewające usłyszał, zaczem wzrok jego ucieiszony po łąkach świeżozielonych bujał, na których zdroje kryształowe sączyły i gdzie

tysiące kwiatów kwitnęło, podniósł on oczy swoje do wysokiego nieba i zawołał radośnie: „Ach, jak wesoło i mile jest na tem świecie! dziękuję ci serdecznie na kolanach moich, o mój dobrotliwy Boże! żeś mi jeszcze raz dał widzieć wspaniałość Twoję.“ A wymówiwszy te słowa i tak się ucieszywszy, wyrócił się nagle, zawarł powieki i został martwym. Drudzy dwaj szli zdrowo i krzepko do wsi swojej, przybyli też do domów swoich i zastali, jako zwykle przedtem, małżonki swoje pracą zatrudnione. Nie mogły ich jednak żony poznać, z przyczyny, gdyż tak długie brody mieli, że im aż pod biodra sięgały.

„Czyliż mnie już nie znasz?“ zapytał się drugi, wstąpiwszy do izdepki swojej, ujmując za rękę żonę swoją. „Ja mężem twoim jestem.“

„O gdzie tam! odrzekła żona. Jakże wy się z ubogiej wdowy drwić możecie? Mąż mój już przeszło siedm lat nie żyje a zwłoki jego w głębi kutnej góry leżą i tam podobnie aż do sądu pańskiego odpoczywać będą.“ Uśmiechał się mąż i opowiedział żonie to i owo, co tylko oboje wiedzieć mogli, że ona na rzeszcie powątpiwać przestawała, innym już wzrokiem na niego poglądając. —

„Idź do góry,“ rzekł on tedy, „tam w mojej komórcie, gdzie w kątku na prawo mały stolik stoi, wyciągnij szufladę, dobądź mydła, nożyce i brzytwy i przynieś mi to tu wszystko. Jak sobie moje długie włosy podstrzyżę i moję zarosłą brodę ogolę, zaiste mię zaś poznać będziesz mogła.“

Uczyliła tak żona, jako jej mąż rozkazał, a gdy się mąż jej ogolił, i włosy spuścił, poznała go znowu, a uściskając go z przymleniem za szyję, płakała od radości i całowała go. Poszła ona potem do kuchni i zgotowała dobry obiad, tak dobry, jakiego już od dawna na stole w tem domku nie było, postawiła potrawy, usiadła z mężem swoim do stołu, jadła z nim, ciesząc się, siedziała blisko godzinę obok niego. On zaś, zjadłszy jeszcze ostatni kawałek chleba, i odprawivszy swoją stołową modlitwę, i chcąc powstać od stołu, zbladnął nagle na twarzy, spadł ze stołka i został nieżywy. —

Trzeci wstąpił do swojej izdepki i zastał żonę swoją przy kądzieli. Wyglądała ona właśnie oknem i niepostrzegła męża do izby wstępującego, albowiem i kołowrotek jej tak głośno warczał, że chodu męża niesłyszała. Oglądał się mąż po izbie i wszystko w tem stanie widział, jako przy odejściu jego było,

dla tego mu się też zgola tak wydawało, jakby rzeczywiście tylko przez jeden dzień był od domu oddalony. Jeszcze tam klatka drewniana na ścianie wisiała a ptak pstrokaty, zięba znajoma, ustawicznie w niej wesołe skoki czyniła i przeraźliwie śpiewała, co go wielce cieszyło. Nad małym zwierciadłem wisiał wieniec upleciony ze żółtych koczanków; na brunatnym stoliku, nakrytym aiałym strzępkowanym obruskiem stał mały krzyżyk, na ścianie wisiały małe dobrze znajome obrazki i nawet te same donice stały jeszcze w oknie, tylko już inne kwiaty i zioła z nich wyrastały i pięknie kwitnęły. „Żono!“ odezwał się do niej na koniec mąż łagodnym głosem: „Żono! czyliż mnie już nieznasz?“ W przełęknięciu uskoczyła żona do kołowrotka swego i patrzała z podziwieniem jak wryta na męża swego, z długą brodą i długimi włosami.

„Nie,“ odezwała się, „Nieznam was, ani was nigdy w życiu moim niewidziałam.“

„Ej otwórzże przecie twoje oczy!“ odrzekł mąż radośnie, ja jestem, ja Szczepan, twój mąż! Rozpatrzyła się dopiero wtedy dobrze żona w męża swego. A gdy go po dawniej bliźnie na czole i z modrych ócz jego poznała, już dalej nie wątpiła, bo jój to i wdziek mowy jego i poufałej zaręczał.

„Jużci to zaprawdy ty jesteś!“ zawołała radośnie przytulając go do serca swego. „Na Imię Boga, powiedzże mi, gdzie tak długo bawiłeś?“ „Tam w górze przez siedm lat przebywałem, będąc w jój wnętrzościach ziemią skalistą zawalony, alieć mię Bóg łaskawy cudownie zachował i zaś do dnia jasności wyprowadził.“ odpowiedział mąż dodając: „będziemy Go uwielbiać i chwalić teraz i na wieki wieków. Amen.“

„I ty zaś przy mnie zostaniesz? zapytała żona; i wszystko zaś tak będzie, jak przed siedmiu laty było?

„Ze wszystkim tak,“ odrzekł Szczepan; lecz tylko jeden rok będzie mi wolno żyć na ziemi. Po upływie tego czasu zawoła mnie Bóg do siebie.“

Przy tych słowach zasmuciła się żona i cała jój wesołość nagle znikła. „Ach,“ rzekła ona z westchnieniem, to ja sobie także życzę, żebym i ja wtedy umarła, ażebyśmy na wieki społem zostali!“ Któż może wiedzieć, co się stanie? — rzekł mąż. Będziemy żyć w pracy i pobożności w tym roku, a potem Bóg z nami tak zaiste uczyni, co nam do naszego zbawienia najlepij posłuży.

Żyli społem przez jeden rok w pobożności i pracowitości, a dni tak im sporo upły-

wały, jakoby tylko godzinami były. Lecz, gdy już rok dochodził, a Szczepan ze szybu powrócił, usiadł sobie ze żoną swoją w ogródeczku za domkiem swoim i opowiadał jój, jako tam w ziemi wyglądało, kiedy się góra zarwała i szyb zawalił. Zamilknął jednak z nagłą w pośród jego mowy, upadł na ławę z darni, blady i powalił w słup oczy. A żona jego także upadła i tak oboje w tym samym momencie bieg swój doczesny zakończyli.

Następującego poranku znaleźli ich sąsiedzi ich między kwiatami a ptaszki nuciły im przyjemnie rozculającą piosneczkę pogrzebową. Na ten sposób spełnił Bóg łaskawy życzenia trzech pobożnych górników, również i życzenie niewiasty, ponieważ ona przez całe życie swoje szczerze Bogu służyła i zawsze pobożną była.



